

Świątynia Durgi wyłoniła się nagle i bardzo okazała zza jednego z wielu mijanych urwisk. Ujrzelismy podobny do szpilki stromy szczyt, a na nim całką ciekawą, modernistyczną konstrukcją, z dominującymi w niej rozległymi łukami. Najprawdopodobniej niezwykła rzeźba terenu przyczyniła się do uczynienia miejsca ważnym dla kultu bogini. W stosunkowo rozległej kotlinie szczyt ze świątynią znajdował się niemal dokładnie po środku, rozdzielony głęboką przełęczą od otaczających go pasm. Był od nich trochę niższy, lecz poprzez swoją samotność nad nimi dominował.



Autobus krążył wokół owej samotnej osi jak kula ruletki.

Czasem niemal wypadał z talerza kotliny, innym razem posłusznie zjeżdżał na samo jej dno. Wreszcie wypadła jakaś liczba i wyszliśmy z pojazdu. Wokół nas zjawiła się oczywiście mała osada, oferując nam orzeszki, napoje, oraz liście do żucia. Poszliśmy za jedną z budek i natychmiast zaczęliśmy się wspinać malowniczą drogą. Nie miała ona żadnych barierek i dla osób nie przyzwyczajonych do nagle urywającego się gruntu pod nogami, stanowiła pewne wyzwanie. Dżungla wspinała się razem z nami, dobrze sobie radząc z całkowitym niedostatkiem poziomego gruntu. Widoki stąd były niezwykle. Nasi nizinni współpasażerowie szli, aby pozdrowić boginię z ogromny poświęceniem. Starali się trzymać jak najdalej od urwisk, zaś ich twarze były kompletnie blade. Oczywiście nie wszyscy. Trzech młodych mężczyzn, ubranych i uczesanych w stylu Amira Khana, znakomitego aktora najczęściej grającego buntownika, lub rewolucjonistę, wspinało się w górę stromymi skrótami, zerkając co jakiś czas na idące powoli i uważnie młode piękności w sari. Świątynia okazała się większa niż przypuszczaliśmy. Jej styl był swoiście subkontynentalny. Rzucano się w oczy użycie jakby nadmiernie wątlých, betonowych płaszczyzn, przywodzących na myśl raczej gięte metalowe plansze. Z podobnymi do niej dziełami zetknąłem się już nie raz – szczególnie dobrze pamiętam Lotosową Świątynię z Delhi, a z ilustracji i telewizji wielki meczet w Lahore. Zbytnią wątlność ścian wielkoskalowych budowli owocowała w tych wypadkach pewnym wrażeniem rażącej nieproporcjonalności, ale też – co zadziwiające – obserwowane z niektórych stron dzieła te zaskakiwały wyrafinowaną harmonią. Obcowanie z tego typu budownictwem dawało w efekcie nieustającą mieszankę zachwytu i rozczarowania.

Budowla wsparta była siłą rzeczy na kilku tarasach, które wyrzucały przed nasze stopy kłębiące się schody. Już przed nimi należało zdjąć buty. Wspiąwszy się trochę w górę stanęliśmy pod największym łukowatym sklepieniem, które nie było od strony głównej fasady zamknięte ścianą, lecz złączonymi za sprawą wątlých żelaznych obramień oknami.

Wewnątrz znajdowało się właściwe mieszkanie posągu groźnej i łaskawej Durgi, stanowiące swego rodzaju wewnętrzny pawilon. Szerokie obejście owego pawilonu również stanowiło część wnętrza, co wpływało na stosunkowo duże rozmiary gmachu. Posąg bóstwa był bardzo udany, oczywiście kamień został również w tym wypadku pomalowany i przesłonięty eleganckim sari, girlandami kwiatów i innymi ozdobami. Przed samym wejściem znajdował się dzwon ofiarny, całkiem spory tym razem, jako, że i świątynia nie była mała. Nie tak łatwo go było poruszyć, lecz w nagrodę można było usłyszeć piękny dźwięk starannie odlanego metalu spotęgowany echem. Na obchodzących posąg czekała kolejna niespodzianka. Była nią mniejsza świątynia Kali, bardziej mrocznego aspektu Durgi (wierni mają różne zdania na temat tego, które z tych dwu oblicz jest bardziej istotne). Współcześnie, na obrazkach, Kali często ma niebieską karnację, jak wszyscy bogowie panteonu. Rzeźby są wierniejsze tradycji i zazwyczaj są czarne. Owa czerń oznacza pustkę, nicość, bezpostaciowy stan Mokszy, czyli uwolnienia się z koła sansary i towarzyszących jej iluzji, takich jak wrażenie podmiotowej osobowości. Obok Kali innym czarnym bóstwem Indii bywa awatar Wisznu Kriszna i wielu Hindusów czci go bardziej jako abstrakcyjną ideę niż jako osobowego boga, jak to czyni się popularnie wśród zachodnich wyznawców Gowindy. W Mussoorie udało mi się zdobyć książkę opisującą dokładnie koneksje między Kali a Kriszną, całkowicie prawie nieznaną w murach ISCOMU, a odgrywającą znaczącą rolę w kulturze indyjskiej. Do tej lektury z pewnością wrócę, gdy znajdę czas, aby ją przeczytać, co wcale nie jest w Indiach takie proste. Posąg Kali, mniejszy od przedstawienia Durgi, też był udany. Rzeźbiarz nie dał się ponieść taniej, dosypującej do wszystkiego cukru, dewocji i ukazał boginię zniszczenia w sposób niepokojący.

Nasi współtowarzysze mieli z zejściem większe problemy niż z wejściem. Były z nami dwie młode kobiety z mężami i dziećmi, ładne, choć trochę przy kości. Gdy schodziły, sunęły jak czołgi, byle nie patrzeć na majaczące przed oczami urwiska.

Kaja chyba do dziś ma odciski na zdeptanych przez nie stopach. Jak to zwykle bywa w Indiach, autobus zdrowo się natrąbił, zanim wszyscy weszli i zajęli swoje miejsca. Wyjechaliśmy z niezwyklej kotliny i natychmiast zagłębiliśmy się w innych malowniczych światach. W pewnym momencie na naszej drodze znów pojawiły się przepiękne, żeliwne altanki, potwierdzające fakt, iż to Anglicy nazwali i przysposobili do ruchu turystycznego Kempty Falls. Zanim jednak dotarliśmy do owej atrakcji, wjechaliśmy w chaotyczną miejscowość Kempty Falls, gdzie z willami i tybetańskimi pałacami sąsiadowały zupełnie zwykłe, chaotyczne indyjskie domki. Droga w osadzie znajdowała się w stanie przedśmiertnym. Jakieś kobiety próbowały ją naprawiać zwirem przyniesionym w koszykach na głowach, lecz były to próżne zabiegi. Ziemne osuwiska stanowiły nie lada wyzwanie dla kierowców, jak też i zapowiedź tego, jak wyglądają drogi w wysokich partiach gór, gdzie oczywiście, pod wpływem wody z topniejących lodowców, ziemne osuwiska zamieniają się w błotne.

Kempty Falls ukazały się naszym oczom, gdy wjechaliśmy na brzeg pasma górskiego przypominającego wielki amfiteatr. Wodospady w wielu miejscach nie były szerokie, lecz spadały z imponującej wysokości kilkuset metrów. Przy drodze, którą jechaliśmy, zebrały się dwie linie budynków z restauracjami, pamiątkami i fotografami robiącymi pamiątkowe zdjęcia w malowniczych strojach wystawianych na kołkach w ich budkach. Jako, że przestrzeni przy drodze nie było wiele z uwagi na ściany i urwiska, nie powstał przed owymi budynkami rozległy bazar, chodziło za to wszędzie mnóstwo górskich kóz, o dużo dłuższych nogach i sierści od ich polskich kuzynek. Co ciekawe, również nizinni Hindusi reagowali na te zwierzęta z fascynacją, choć na ulicach indyjskich miast można znaleźć licznych przedstawicieli fauny udomowionej i nieudomowionej, i nawet górskie kozy. W końcu ludzie z gór też czasem podróżują po Indiach i nie zostawiają w pustych domach swoich podopiecznych... Do autobusu nie można chyba wsiąść ze stadem kóz, lecz na dworcach widuje się często osoby ze swoimi

trzodami, a także z zaskakującymi bagażami, typu stogi siana, worki cementu, cegły etc. Nie jechaliśmy nigdy w pobliżu wagonu bagażowego, co z pewnością potęguje niepotrzebnie tajemnicę dotyczącą tego, co jeździ indyjską koleją.

Gdy wyszliśmy z autobusu, zorientowaliśmy się, iż różnych punktów usługowo – gastronomicznych było tak wiele, iż nie widać było zza nich samego wodospadu. Choć przyjechało w to miejsce naprawdę wiele autobusów z różnych stron Indii, miało się wrażenie, iż wszystko świeci pustkami i w ogóle nie ma klientów. Wszystkie bary były bezludne, podobnie stragany. Mimo to postanowiliśmy coś zjeść, aby popatrzeć na zapierający dech w piersiach widok zza szyb baru. Na dole widać było brytyjskie schody z altankami oplatające wodospady. Przy schodach rozrósł się malowniczy bazar, zakryty malowniczo płachtami z materiału, powiewającymi jak żagle jakichś niezwykłych okrętów. Z drogi, na której się znajdowaliśmy zjeżdżała na samo dno wodospadów kolejka linowa. Przy jej dolnej stacji widać było szeroki próg spadającej wody uderzający w starannie wyprofilowaną misę, w której kąpały się niedostrzegalne z tak dużej odległości kropeczki ludzi. Przy owej misie znajdowały się jakieś hotele i świątynie. Zarówno Mussoorie, jak i Dehra Dun leżą na granicy zlewisk dwóch świętych rzek, Gangi i Jamuny. Najpewniej Kempty Falls stanowiły fragment dopływu Jamuny, rzeki, która w Indiach towarzyszy nam najdłużej, gdyż płynie zarówno przez Delhi, jak i przez Agrę.

Po posiłku udaliśmy się dalej główną szosą, aby znaleźć górną stację kolejki. Niezwykłe piękno górskich pejzaży przeplatało się tutaj wciąż z rzeczywistością doraźnie wybudowanej, zwartej zabudowy, przypominającej mi różnego rodzaju filmy i gry toczące się w fantastycznym okresie jaki mógłby się zdarzyć ludzkości, gdyby wybuchła trzecia wojna światowa. Wszędzie wokół nas znajdowały się budy, szalasy, nowe ruiny, niedbale podłączone do źródeł zasobów, takich jak energia elektryczna, czy woda. Gaz w wielu miejscach w Indiach

dostarcza się w butlach. Myślę, że centralna sieć gazowa jest ogromną rzadkością nawet w wielkich miastach. Mają ją zapewne czasami luksusowe blokowiska dla bogatych. Sieć wodna jest zadziwiająco dobrze rozbudowana, lecz wodę zdatną do picia (chyba, że ktoś nie ma wyjścia) dostarcza się również w wielkich, zabłoconych plastikowych bidonach. Z wywożeniem śmieci nie zawsze jest dobrze, zwłaszcza poza dużymi siedliskami ludzkimi, dlatego widzieliśmy spływające w głąb górskiego amfiteatru strumyki śmieci. Urwistka jednakże były na tyle rozległe, iż owe zanieczyszczenia tonęły bez reszty w ogromnych przestrzeniach.

Po przejściu jakiś kilkuset metrów weszliśmy na skromny most poprowadzony pomiędzy wodospadami. Zarówno na górze, jak i na dole były probrytyjskie schody i z wodą działo się coś ciekawego. Zdecydowaliśmy się na dolną część wodospadów, jako, że obok cudów natury oferowała nam również zadziwiające pejzaże ludzkiej przedsiębiorczości. Zaraz przy pierwszych stopniach zaczynał się bazar, bardzo elegancki, nakryty powiewającymi płachtami barwnego materiału. Zza stoisk z przekąskami i tanią biżuterią przeświecały rosnące na stromych wzgórzach drzewa. Jedynie najmłodsze z makaków ośmielały się skakać po wątych, zawieszonych w próżni gałęziach. Ich ojcowie natomiast bez żenady wpadali na uginające się pod ich ciężarem płachty. Był to przeważnie sam początek złożonych strategicznie planów, mających na celu zagarnięcie jak największej ilości owoców z czekających na innych zgoła klientów stoisk. Gdyż, co oczywiście nie powinno nas dziwić, małpy nie uznają ludzkich systemów monetarnych. Górna stacja kolejki urzekła nas swoimi starymi, żeliwnymi trybami, oraz rozległym tarasem, z którego rozpościerały się piękne widoki. Dalej jednak znów szliśmy piechotą, gdyż nie było daleko. Na koniec naszej drogi dotarliśmy do dwóch potężnych progów wodnych, zabudowanych zarówno przez Brytyjczyków, jak i przez Hindusów. Obok altanek znaleźliśmy swego rodzaju misy, w które wpadały potężne i szerokie wodospady, miotając wokół siebie na odległość kilkudziesięciu metrów potężny, rykoszetowy deszcz.

Kąpiel na pierwszym z progów byłaby szaleństwem. Woda przepływała przez misę bezlitośnie, by stoczyć się znów w kolejne urwisko. Na drogim, ostatnim progu kąpały się grupki Sikhów. Można było przejść poniżej tego miejsca po betonowym mostku, jednakże każdy, kto na nim stanął narażał się na prysznic, przyjemny latem, a trochę już mniej zimą.

Kempe Falls były dziwnym miejscem. Odniosłem wrażenie, iż różne światy nakładają się w nim na siebie. Gdzieś istniała pierwotna kraina przyrody, pod wieloma względami mniej tu zmieniona, niż w wielu bardzo turystycznych górskich miejscach Europy. Jednak dysonans pomiędzy marzeniami rządzących tu onegdaj Brytyjczyków, a w pełni już współczesną indyjskością, też na swój sposób rozmarzoną, wypełniał to miejsce bez reszty. Czy pary młodożeńców przybywające w owe miejsce były romantyczne w sensie Emily Bronte, czy Waltera Scotta? Czy szukały jakiejś dzikości, przy której można się napić w altance herbaty? Z pewnością nie. Do dziś nie odpowiedziałem sobie jeszcze na zagadnienie dotyczące tego, na ile typowi Hindusi są wrażliwi na piękno krajobrazu. Po poznaniu wielu indyjskich ulic i miast, najłatwiej stwierdzić, iż nie posiadają oni w ogóle tego typu wyczulenia. Przyciąga ich raczej świętość, albo choć wyjątkowość miejsc. Związane z nimi historie, przeplatanie się ziemi z mitem. Interesujący jest fakt, że gdzieś na przykład postawił swoją stopę Rama, czy Hanuman. To, że wokół odcisku owej stopy postawiono nie zawsze ciekawą, betonową świątynię i otoczono ją bazarem, zdaje się nie mieć najmniejszego znaczenia. Ale przecież w Mussoorie było inaczej. Z pewnością niektórych młodych przyciągała w to miejsce europejskość tej miejscowości, podobnie jak do Goa, dawnej portugalskiej kolonii, z której swego czasu Portugalczycy wygnali wszelką niemal indyjskość mając na to więcej czasu niż Brytyjczycy. Lecz znów – czy europejskość przyciąga małowniczą egzotyką, tak jak niektórych Europejczyków indyjskość, czy też raczej wrażeniem podnoszącego status przybyłych „lepszego świata”? I tutaj jednak pojawiają się wątpliwości. Do takiego Mussoorie



przybywają często ludzie bogaci, mogący sobie pozwolić w Indiach na znacznie więcej, niż przeciętny Europejczyk u siebie.

Tego typu myśli towarzyszyły mi aż do samego autobusu, oblężonego przez żądne najwyraźniej sławy górskie kozy. W samym pojeździe czekaliśmy długo na nasze czcigodne młode matrony. Młode kobiety, dziewczyny jeszcze, tak przy tym nobliwe, iż mające problem z poruszaniem się o własnych siłach. Znów zapewne z rodzaju „sław swojego rodu”, który dobrze je wydał za mąż i drugiego, który właściwie je przyjął. Patrząc na ich poważne, pełne godnej obojętności oblicza zastanawiałem się, czy wszystkie te posagi, aranżowane małżeństwa i tradycyjne postrzeganie kobiet jako córek, żon i matek (i nic więcej) jest dla wszystkich z nich dyskryminacją? Zadowolenie zawsze zawiera w sobie coś z niewiedzy o innych możliwościach osiągnięcia szczęścia, a z pewnością nikt nie zna ich wszystkich...

Po spędzeniu ostatniej nocy w tej górskiej idylli nadszedł czas, by wracać. Nasz plan był prosty. Wieczorem z Dehra Dun wyjeżdżał pociąg jadący niedaleko, zatem powinny na niego być bilety. Wcześniej postanowiliśmy zobaczyć sławne dehradunskie ogrody, aby dać temu miastu szansę w naszych oczach. Bilety postanowiliśmy kupić od razu, aby móc oddać się poprawianiu reputacji Dehra Dunu ze spokojem. Pokrzepieni tak szlachetnym celem z dużo większą sympatią spoglądaliśmy na rogatki tego miasta, zaraz po tym jak autobus zjechał z szalonych urwisk Mussoorie. Wpierw ujrzeliśmy wielką świątynię Sziwy, nakrytą kilkoma wieżami i otwartą w przyziemiu. W środku kapłan obmywał różnymi substancjami lingam Sziwy, dokonując abhisheku. Z drogi, która jeszcze była górską, lecz wkrótce miała stać się zupełnie płaska, widać było umieszczony w dole most. Zanim na niego wjechaliśmy, jakaś europejska dziewczyna, w obcisłych legginsach i bluzie podbiegła i wsiadła do autobusu. Mieliśmy wrażenie, że już ją gdzieś widzieliśmy, ale nie byliśmy pewni gdzie. Całkiem możliwe, iż chodziło o to, iż

jej strój był podobny do jogińskich dresów hiszpanki Miramar. Znów zadumałem się nad dziwactwami niektórych przyjezdnych w Indiach. Przecież nawet w Europie mało kto ubiera się w ten sposób. Nowa pasażerka była zapewne Francuzką, sądząc po tym, iż podziękowała kierowcy słowem „merci”. Ciekaw byłem, jak Hindusi rozumieją tego typu ćwiczące jogę osoby. Może wcale nie tak źle, gdyż ci należący do bogatszych kręgów społecznych sami poznają niekiedy swoją kulturę poprzez Zachód. Jak choćby Gandhi, który ucząc się w prowadzonych przez chrześcijan szkołach z tekstami ważnymi dla kultury Indii zapoznał się bardzo późno, wyciągając z nich raczej zaskakujące wnioski. Bo czy Kriszna z Bhagawadgity, zachęcając Ardżunę do walki z krewnymi w imię konieczności wypełnienia przeznaczenia, słaawi rzeczywiście drogę oporu bez przemocy?

Na dworcu były tysiące ludzi. Nie mieliśmy pojęcia, skąd się tam wzięli. Dehra Dun nie był maleńką miejsciną, ale w porównywalnej z nim Agrą ciężko było natknąć się na takie tłumy. Poza tym Agra leżała w samym środku regionu, zaś z Dehra Dunu można było tylko udać się w góry, lub do Delhi i Pendżabu. W samych górach nie było wcale wielu turystów. Wielu z nich miało zresztą własne autobusy wycieczkowe. Diwali już się skończyło. Ale czy ono rzeczywiście się kończy? Może jakieś święto sikhijskie? Do nich nigdy nie mieliśmy szczęścia. Zwykle nasilały się na kilka dni przed i po deklarowanym przez kalendarz świętem. Po spędzeniu godziny w kolejce do informacji dowiedzieliśmy się, że biletów nie ma na żaden pociąg przez najbliższą dobę, pomimo, że nasz pociąg jechać miał tylko z Dehra Dun do Delhi, my zaś chcieliśmy kupić bilet na 8 godzin przed jego odjazdem, a słyszeliśmy, iż zawsze istnieje pula biletów, które są przeznaczone do zakupu na dwa dni przed wyjazdem pociągu.

Zdecydowaliśmy się zatem na autobus, lecz wcześniej postanowiliśmy dojść do bardziej centralnych regionów Dehra Dun, aby coś zjeść i przy okazji zobaczyć to miasto. Minęliśmy z niesmakiem nasze zdziercze hotele i doszliśmy do

zrujnowanych sukiennic w ciekawym mogolskim stylu, przy których właśnie odbywał się najwyraźniej targ kóz. Przedarcie się przez sprzedawców i ich niesforny towar nie było proste, zwłaszcza, że na ulicy wrzał wielkomięjski ruch, zaś przy krawężnikach zebrały się kałuże tajemniczych substancji, których wszyscy unikali. Zastanawiałem się, jaki los spotka sprzedane kozy. Być może chodziło o muzułmańskie święto ofiarowania, gdzie należało zarznąć Prorokowi kozę, owcę, konia, albo wielbłąda. Sądząc po przynależności religijnej targujących się, mógł to być właściwy trop. Na barbarzyńskość tego procederu skarżyło się nieraz wielu hinduistycznych pisarzy, oczywiście mieszkańiec mięsożernej Europy byłby hipokrytą kręcąc nosem na tego typu obyczaje, nawet jeśli sam jest wegetarianinem.

Niestety, centrum, którego obrzeża widzieliśmy z okien autobusu wcale nie było blisko. Kaja w pewnym momencie zdecydowała się na autobus, a gdy okazało się, iż ów jedzie na dworzec autobusowy, stwierdziliśmy, że i tym razem Dehra Dun straciło szansę na dobrą prezentację w indyjskim pamiętniku. Z mapy wynikało, iż Dehra Dun posiada co najmniej cztery duże dworce autobusowe, nie byłem zatem pewien, czy jedziemy na właściwy. Droga, którą kilka dni temu przemknęliśmy rykszą, nie wyglądała wcale tak samo. Na miejscu pustkowi panoszyło się trochę bazarów. Domy jakby zbliżyły się do siebie, a za nimi pojawiły się jakieś wyższe, przemysłowe konstrukcje. Gdy w pewnym momencie dostrzegłem wysoki maszt radiowy, byłem niemal pewien, iż jedziemy w złym kierunku. Jednak tak nie było i wkrótce wjechaliśmy na dworzec autobusowy. A raczej w jego pobliżu, zasłane autobusami bardziej zapewne niż sam dworzec. Jeden z autobusów właśnie odjeżdżał. Jako, iż miał napisane na sobie w dewanagari „Dilli” wsiedliśmy do niego.

W pewnym sensie była to zła decyzja, gdyż okazał się on wyjątkowo niewygodny do spania. Mieliśmy za to miejsce z doskonałym widokiem na przednią szybę pojazdu, przez co mogłem podziwiać autentyczną wirtuozerię kierowcy pojazdu. Wpierw

wymijał on przeróżne ciężarówki na wąskiej górskiej drodze, w ciemności, która zapadła tak szybko, że nie zdążyliśmy tego zauważyć. Po zatrzymaniu się w Nanitalu, innej słynnej miejscowości Uttarkhandu, zjechaliśmy do Uttar Pradeshu. Tam nie było autostrady, lecz dwupasmówka, całkowicie zastana tysiącami ciężarówek. Wymijaliśmy je po kilkanaście sztuk, w ogóle nie przejmując się masywnymi pojazdami mknącymi z naprzeciwka. Tak naprawdę nie zważaliśmy tylko na samochody osobowe, w myśl zasady słabszy nie ma racji. Gdy coś masywnego jechało pod prąd, ich kierowcy musieli szukać jakiegoś pobocza na własne ryzyko, a jak go nie było, tym gorzej dla nich. Nie dziwiłem się dlaczego tak mało osób jeździ indywidualnie po indyjskich drogach.

Mijaliśmy niezwykle miejsca. Bezimienne miejscowości, które mieniły się wokół nas ruchem dogasających bazarów. Czasem wjeżdżaliśmy na jakieś gigantyczne skrzyżowania międzymiastowych dróg, które wyglądały jak piaszczysty step, z którego płynęły w najprzeróżniejszych kierunkach pojazdy, bez żadnego ładu. Innym razem wokół naszej wąskiej przeważnie drogi stały długimi, wielokilometrowymi rzędami ciężarówki, utrudniając dodatkowo nielicznym osobowym samochodom zjeżdżanie nam z drogi. Koło Meeruthu ogarnęły nas gigantyczne obszary rolnicze cuchnące nawozem pozyskiwanym z ogólnie dostępnych w Indiach odchodów, przede wszystkim chyba ludzkich. Oczywiście w mroku nie widzieliśmy pól, lecz doskonale czuliśmy te rolnicze pustkowia wokół nas. Gdy jednak zatrzymaliśmy się na postoju w tych okolicach, było to bardzo miłe i przyjemne miejsce. Sprzedawano tam również książki, wiele literatury pięknej oraz poradniki, typu „Jak sprzedać każdemu cokolwiek”. Muszę przyznać, iż znając umiejętności niektórych indyjskich naciągaczy, miałem szczerą ochotę zakupić ową pozycję. Była tutaj nawet toaleta, nie stanowiąca murków z napisami „kobiety” i „mężczyźni”. Obok kawy i przekąsek można było też tu znaleźć restaurację z krzesłami, oraz dwie świątynie poświęcone Sziwie i Parwati. W trakcie podróży przez mniej turystyczne Indie, owa boska para zdawała

się najbardziej popularną. Aby zabić smród bijący od pół wszyscy sprzedawcy palili kadzidła, co też było miłe. Niestety, nasz kierowca został zmuszony do skrócenia postoju przez inne, czekające na swoją kolej autobusy. Swoją drogą nasz autobus był w dużej mierze pusty. Do samego Delhi jechaliśmy tylko my. Inne osoby wsiadały i wysiadały w różnych miejscowościach, upodabiając nasz kurs do zwykłego transportu miejskiego. Również wiele innych autobusów nie grzeszyło ilością klientów. O ile pociągów w Indiach było zdecydowanie za mało w stosunku do potrzeb, o tyle panował tutaj nadmiar autobusów.

Delhi powitało nas korkami ciężarówek na drogach przelotowych dla ciężkich pojazdów, nie istotnych z punktu widzenia samego miasta. W pewnym momencie, gdzieś w okolicach delhijskiego przedmieścia Noidy, wpadliśmy w chmurę tirów rozładowywanych z naczep na samej drodze, co oczywiście spowodowało na drodze niemałe zamieszanie. Wreszcie wjechaliśmy na dworzec, z którego pojechaliśmy rykszą na stację New Delhi. Nasz dworzec autobusowy położony był koło Ajmer Gate, na północnych fortyfikacjach Starego Delhi. W linii prostej nie było stąd daleko do dworca Nowego Delhi, lecz rykszarz pojechał najbardziej ekspresową drogą zaczynającą się od objechania przepięknych murów Czerwonego Fortu, które pierwszy raz podczas tego pobytu widziałem, a raczej wyczuwałem w mroku. Na delhijskim dworcu mogliśmy kupić bilety dopiero na pierwszy poranny pociąg. Nowy, niedawno wybudowany (i po części odnowiony) gmach dworca sprawiał dość ponure wrażenie z uwagi na brak sprzątających i ogromne ilości podróżnych śpiących na podłogach dworca. Z kolei sale przeznaczone dla osób posiadających rezerwację na bilet nie były szczególnie zatłoczone. Toalety, które zrobiono najwcześniej trzy lata temu nie były chyba ani razu sprzątane. Coś niestety nie wyszło z remontem jednego z najważniejszych dworców w Indiach.

Zobacz inne rozdziały Dziennika indyjskiego – [kliknij tutaj](#)